

Miejsce  
na naklejkę  
z kodem szkoły

dysleksja

MPO-R1A1P-062

# EGZAMIN MATURALNY Z JĘZYKA POLSKIEGO

Arkusz II

**POZIOM ROZSZERZONY**

Czas pracy 130 minut

ARKUSZ II

MAJ  
ROK 2006

## Instrukcja dla zdającego

1. Sprawdź, czy arkusz egzaminacyjny zawiera 10 stron. Ewentualny brak zgłoś przewodniczącemu zespołu nadzorującego egzamin.
2. Arkusz zawiera dwa tematy sprawdzające tworzenie tekstu własnego w związku tekstem literackim zamieszczonym w arkuszu. Wybierz jeden z nich i napisz wypracowanie.
3. Pisz czytelnie. Używaj długopisu/pióra tylko z czarnym tuszem/atramentem.
4. Nie używaj korektora, a błędne zapisy przekreśl.
5. Pamiętaj, że zapisy w brudnopisie nie podlegają ocenie.
6. Możesz korzystać ze słownika poprawnej polszczyzny i słownika ortograficznego.
7. Wypełnij tę część karty odpowiedzi, którą koduje zdający. Nie wpisuj żadnych znaków w części przeznaczonej dla egzaminatora.
8. Na karcie odpowiedzi wpisz swoją datę urodzenia i PESEL. Zamaluj ■ pola odpowiadające cyfrom numeru PESEL. Błędne zaznaczenie otocz kółkiem ⊙ i zaznacz właściwe.

Za napisanie  
wypracowania  
można otrzymać  
łącznie  
**40 punktów**

*Życzymy powodzenia!*

Wypełnia zdający  
przed rozpoczęciem pracy

--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--

PESEL ZDAJĄCEGO

--	--	--

KOD  
ZDAJĄCEGO

**Wybierz temat i napisz wypracowanie nie krótsze niż dwie strony, tj. około 250 słów.**

**Temat 1. Analizując i interpretując wiersz Anny Świrszczyńskiej *Budując barykadę* oraz fragment *Pamiętnika z powstania warszawskiego* Mirona Białoszewskiego, przedstaw i porównaj dwa sposoby prezentacji dramatu zwykłych ludzi uwikłanych w historię.**

Anna Świrszczyńska *Budując barykadę*

Baliśmy się budując pod ostrzałem  
barykadę.

Knajpiarz, kochanka jubilera, fryzjer,  
wszystko tchórze.  
Upadła na ziemię służąca  
dźwigając kamień z bruku, baliśmy się bardzo,  
wszystko tchórze –  
dozorca, straganiarka, emeryt.

Upadł na ziemię aptekarz  
włokąc drzwi od ubikacji,  
baliśmy się jeszcze bardziej, szmuglerka,  
krawcowa, tramwajarz,  
wszystko tchórze.

Upadł chłopak z poprawczaka  
włokąc worek z piaskiem,  
więc baliśmy się  
naprawdę.

Choć nikt nas nie zmuszał,  
zbudowaliśmy barykadę  
pod ostrzałem.

(Anna Świrszczyńska, *Budowałam barykadę*, Warszawa 1974)

Miron Białoszewski *Pamiętnik z powstania warszawskiego* (fragmenty)

W nocy szalały pociski i „szafy”. A jednak noce były lepsze. W nocy najwięcej było akcji. Takich dla cywilów. Na ochotnika. Tylko w nocy dało się przesunąć barykadę. Bo właśnie o to chodziło. Raz. Pamiętam. Widocznie straciliśmy kawałek terenu. A może to taktyka. Bo trzeba było przesunąć barykadę o ileś metrów. W naszą stronę. Na Rybakach. Już niedaleko przed Wytwórnią. Zbiórka. Ochotników. O pierwszej czy o drugiej. Sporo nas. Dwudziestu paru chyba. Łopaty. Kilofy. Łomy. Wszystko rozdane. Ruszamy. Cieplunio. Nawet w tym momencie cicho. Aż gwiazdy, wydaje mi się. Ale gdzie tam gwiazdy! Na pewno zasłonięte dymami. Prowadzi nas porucznik. Porucznik? Czyżby? Tak mi się powiedziało. Porucznik w czasie powstania to była figura. Więc to był ktoś taki jak kapral. Czy osoba cywilno – dyżurno – półwojskowa w ogóle. [...]

Dochodzimy do celu. Wszystko idzie w ruch. Za barykadą był jeszcze kawałek Rybaków. I wylot. Chyba zniżająca się jezdnia. Przeprowadzenie barykady było dosłowne. Płyta

po płycie. Każdy kawał bruczku. Szyna po szynie. (Chyba tych narzędzi, które wymieniłem, nie rozdawali do tego; pomyliłem to z inną akcją nocną). Noc nie była długa. W każdej chwili mogło wybuchnąć nie wiadomo co. Cisza coraz bardziej robiła się podejrzana. Więc tempo. Tempo. Ruch. A dużo rzeczy ciężkich i brzęczących. Dużo – to pamiętam – blachy. A blacha robi echo. Dużo uwijania się, ludzi, dźwigania kłusem i latania po następne i znów. To wciąż wszyscy, jedni po drugich, w tym lataniu z dźwiganiem i mijaniem się, w tym chybciku, tylko siebie ciszyli:

– Ćśśś...

A przecież przy tylu ludziach i rzeczach coś musiało się gubić. Bo jeszcze ten pośpiech. Więc układanie podobne do rzucania. Tyle że podobnego do przykładania. Ale tyle tego!

– Ćśśś...

Lataliśmy z tym od starej barykady (coraz mniejszej, znikającej) w głąb Rybaków do nowej barykady, coraz większej. Mijając kamienice od Wisły. A drewniak od skarpy. I chyba od skarpy też kamienicę. Nagle ktoś – chyba nie ja? – upuścił blachę. Na kocie łby. Huk. Brzęk. Potworne echo. W tej chwili wszystko, i to tło z kompletnej ciszy, i to ciepło (sierpniowe), wydało nam się tak podejrzane, że zamarliśmy. I nie wiem, czy naprawdę to. Ale zaraz zaleciał nas ogień. Taki żywy. Z wyciem. I trzasnął gdzieś blisko. To pocisk.

Potem drugi. Z wyciem. Jak kometa. I prask! Od mostu Kierbedzia. I trzeci: ogień – wycie – prask! Ogień – wycie – prask! – z naprzeciwnika, od Gdańskiego. I od Kierbedzia. I prask! prask! Naraz. W dwa ognie nas wzięli. Dosłowne. [...]

Nie od razu się spostrzegłem. Co robić? I co inni? Jakoś zaczęli znikać. Trzeba zniknąć. Ale jak? Gdzie wpaść? Wpadam pod mur. Żadna osłona. Wpadam w bramę do kamienicy od Wisły. Właśnie była od Wisły. Od całej Pragi. Nie wiem, czy miała podwórze. Czy jak to się tam zwało. Wiem, że nic nie miała. Tylko Wisłę, Pragę, pociski i huk z echem. Ktoś jeszcze koło mnie. Ile tam można było być, stać? Raz, dwa, w minutę wyskoczyłem.

I pod mur. I do bruku. Patrzę... to znaczy czuję: nagle zbawienie – okieneczko do piwniczki. Jak kot spląszczyłem się. Siup. W dół. Ktoś za mną. Też jak kot. I jeszcze ktoś. Ze środka zawiąło ciepłkiem. I gadaniną:

– Ru-ru-ru... – Wpadłem w zbitą kupę ludzką, w ciasnotkę, chłop przy chłopie. Bo to ci – my, od barykady. Z czymś, z łopatami (właśnie, pamiętam łopaty)... Ale jak tu było ciasno. A żadnego nic innego, wyjścia, dziury zapasiku zakamarkowego. Tylko kocie okienko w górze i to miejscenko. Ciepłko. Tyle bycia, co smrodku i strachu. I zbijania się w kocią zaradność. Prawie miejsca na pięć worków kartofli. Ktoś co i jeszcze doszłusował, z okienka. Z naszych, z tej resztki. Szus! I jest. I coraz ciaśniej. Że ani nogą, ani ręką ruszyć. Więc się nie ruszało.

Zresztą i tak szczęście – być tu. A za to co tam, o ten skok kota z ulicy. Co się działo. Bryzg! W naszą barykadę. Coś się roztego. Bryzg. W bruk! Tu zaraz. Bryzg w drewniak! Płomienie wysokie. Przez chwilę. I już się zniżały. Drewniak się dopalał.

Ileśmy tam siedzieli? I długo, i jeszcze nie do rana. Za ciemka jeszcze zaczęło się uspokajać. Szybko. I ustało. Wylecieliśmy. Narzędzia w garść. Co nie – pozbierać. Szybko. Co jeszcze, nie pamiętam. Tylko że szybko. Kocie łby. To niebo. Sierpień. Pod pachą coś (łopata)? Kościelna. Róg. Przy barykadzie...tej tu cisza – tylko para – on i ona – powstaniec i powstańczyni – siedzą z boku barykady – na dyżurze. I rajcują. Jakby nic innego nie było, nie miało być. Tylko ciepło. Siedzi się. Barykada jak bok mebla. I rajce. To, że byłem szczęśliwy, że wracałem, to też pamiętam.

(Miron Białoszewski, *Pamiętnik z powstania warszawskiego*, Warszawa 1988)

**Temat 2. Analizując i interpretując utwór Jarosława Iwaszkiewicza *Wiewiórka*, przedstaw wzajemne relacje między narratorem a światem przedstawionym.**Jarosław Iwaszkiewicz *Wiewiórka**Dla Tereski*

Wczoraj byłem na cmentarzu. Pogodny poranek późnej jesieni usposabiał melancholijnie. Wzdłuż drogi, którą przeszedłem, rosły stare wiśniowe drzewa i wyglądały jak duże wiązki różowych i kremowych liści. Perspektywy były mgliste, ale niebo bezchmurne i niebieskie, jakie tylko u nas w jesieni bywa.

Stałem sobie nad „moimi” grobami, zastanawiając się nad jałowością podobnej wędrówki. Nic ja im już nie pomogę, nic oni mnie nie pomogą. Śpią, nic ich nie obchodzą ani ja, ani moje wszystkie tak skomplikowane sprawy. Jeden był tylko pożytek z takich odwiedzin: z niskich mogiłek, z uschłych wieńców, ze wspaniałych, pochylonych zachodnim wiatrem drzew, jakimi porośnięty był cmentarz — wiało wielkim spokojem. Wszystko, co się we mnie ostatnio gotowało, co falowało, co niepokoiło — wygładzało się. Pochylałem się ku ziemi, ale jednocześnie wyprostowywałem się, wygładzałem. Wiedziałem, że to nie na długo, ale może po ten spokój przychodziłem właśnie w to miejsce.

Naokoło było cicho. Dzień był pogodny nad wszelki wyraz, ale powszedni. Ludzie byli przy pracy. Z kartofliska, które rozciągało się za cmentarzem, dochodziły dalekie odgłosy rozmów i chwilami trzepanie się koparki. Tym ciszej wydawało się w sąsiedztwie.

Zatęskniłem bardzo do takiego spokoju, chciałem, aby już wszystko się we mnie ostatecznie uspokoiło. Aby nie szastał się we mnie gniew, wściekłość, sprzeciwy losowi i inne takie ciężkie do znoszenia namiętności. Cicho tu było całkowicie, wszystko tu było zakończone. I mnie się chciało już wszystko zakończyć.

W momencie kiedy cisza naciągnęła się jak nitka, kiedy pochyliłem głowę przybitą jak gdyby tą ciszą, usłyszałem jakiś szelest. Z sosny, która stała nad grobem, obrywając pazurkami jesienne płatki sosnowej kory, podobne do brunatnych płatków kwiatowych — zsuwała się wiewiórka.

Wszystkie jej ruchy były zadziwiająco precyzyjne i celowe. Zwierzątko zainteresowało mnie i zacząłem się mu pilnie przypatrywać. Wiewiórka zeszła z drzewa na ziemię, stanęła słupka i spojrzała na mnie. Ponieważ stałem nieruchomo, zdecydowała, że to jest nieważne, i zajęła się swoimi sprawami. Przechodząc szybkimi ruchami wzdłuż mogił wybrała takie miejsce, gdzie naokoło jakiegoś pomnika powstał rowek wycięty sztychami łopaty. Na tym kancie rosła obfita, sucha już w tej chwili trawa. Wiewiórka zatrzymała się przez chwilę, powąchała trawę, a potem zszedłszy na dół skarpy szybko zaczęła grzebać w gliniastym sztychu i podkopywać się do korzeni trawy. Zadziwiło mnie zdecydowanie i dokładność bystrych ruchów jej małych łapek. Kiedy dostatecznie podkopała korzenie trawy, wychwyciła z ziemi cały jej duży pęk razem z korzeniami. Uczyniła to pyskiem, a potem zwróciła się do mnie, jakby mi chciała pokazać swoje dzieło.

Siedziała teraz słupkiem przede mną z dużym pękiem trawy w zębach. Sprężynowym ruchem łapek naprzód otrzepała trawę z ziemi, oczyściła korzonki z piasku. A potem gestem blaszanego robota uderzyła parę razy w obie strony paczki trawy, spłaszczając je na kształt miniaturowej beli siana, takiej, jakie widzimy czasami na ciężarówkach czy na wagonach kolejowych przy dostawach wojskowych. Gdy doprowadziła paczkę trawy do zwartego, sprasowanego kształtu, jeszcze chwileczkę postąła, a potem pomknęła z powrotem na tę sosnę, z której zlaźła. Na szczycie sosny zniknęła na chwilę i natychmiast pojawiła się znowu, już bez pędu trawy, i nie mieszkając ani chwili w te pędy zeszła z sosny pomiędzy mogiłki. Powtórzyła się ta sama scena: popatrzyła na mnie, podkopała nowy pęk trawy, wyrwała go, otrzepała z ziemi (łapki naprzód), doprowadziła dożądanego kształtu (łapki w tył) i znowu pomknęła na sosnę.

Tak to się powtarzało może z pięć razy. Dłużej nie miałem już cierpliwości stać. Zapewne pracowała tak przez cały dzień.

Zrozumiałem łatwo cel tej czynności: wiewiórka wyściełała sobie dziuplę na sośnie. Tam miała zamieszkać na zimę, tam miała przeczekać te chwile, kiedy cmentarz i drzewa, i groby, i zeschnięte kwiaty pokryje warstwa śniegu.

Śledząc zwinne ruchy wiewiórki przerwałem na chwilę moje rozmyślenia o śmierci. I po prawdzie powiedziawszy, już do nich nie powróciłem. Spostrzegłem w krajobrazie mnie otaczającym sprawy i rzeczy, które mnie zainteresowały. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego ta koparka kartofli tak często się zatrzymuje. Zacząłem myśleć o tym, że to tak późno, a ludzie jeszcze kopią kartofle. I nie mogłem sobie przypomnieć, czy to jest pole księżowskie — to za cmentarzem — czy to jest to, co zostało po folksdojczu Berze, który uciekł z Niemcami.

Pomyślałem z pewnego rodzaju czułością o gniazdku, które sobie słała wiewiórka. I gdy już wyszedłem za cmentarne wrota i znowu szedłem do domu, aleją różową od wiśniowych liści, wyobrażałem sobie, jak to ona wyjdzie z tej dziupli na wiosnę i niefrasobliwie rozpocznie swoje dzielne, beztroskie, bezcelowe życie — na cmentarzu.

1950

(Jarosław Iwaszkiewicz, *Wiewiórka*, w: *Opowiadania wybrane*, Czytelnik 1964)











**BRUDNOPIS (nie podlega ocenie)**